Nr. 1 We Lwowie, 1 stycznia 1934 Rok 56



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

NA NOWY ROK!

Z dniem dzisiejszym wkraczamy w pięćdziesiąty szósty rok naszego istnienia!

Przetrwaliśmy długi okres czasu w pracy dla dobra i rozwoju naszego ukochanego łowiectwa, przetrwaliśmy burzę dziejową i związane z nią niepowodzenia, przeżywamy w dniach dzisiejszych światowe przesilenie gospodarcze, które wielkim ciężarem zawisło na naszych barkach.

Da Bóg, że i pod nim się nie ugniemy, o ile Ci, co z nami współpracować winni, dodadzą nam siły, pomocy i otuchy do dalszej ze złem walki.

Aby dopomóc do tej współpracy naszym Członkom, poczyniliśmy Im jak najdalej idące ułatwienia finansowe, w nadziei, że z niej skorzystawszy, staną znów z nami w zwartym szeregu pod starym naszym 55-letnim sztandarem, by przetrwać ciężkie dzisiejsze czasy i zapewnić dalszy byt Towarzystwu i związanemu z niem wydawnictwu.

W Ich ręce oddajemy nasze losy!

W dniu dzisiejszym ślemy naszym Członkom, Przyjaciołom i Czytelnikom najserdeczniejsze noworoczne życzenia.

Redakcja.

SPRAWOZDANIE

z obrad Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. w dniu 3-go XII. 1933 r.

O godzinie 11-tej przedpołudniem, zagaił Prezes Towarzystwa Juljusz hr. Bielski to Walne Zgromadzenie, podając, że Wydział Towarzystwa postanowił je zwołać dla powzięcia uchwał, zmierzających do sanacji stosunków finansowych Towarzystwa. — Wskutek bowiem niepłacenia wkładek przez większą część członków, sytuacja finansowa Towarzystwa jest trudną. Wydział po wyczerpującem zbadaniu stosunków, przygotował wnioski, które jako wkraczające w kompetencję Walnego Zgromadzenia, wymagają jego aprobaty. Następnie Prezes oddał głos referentowi tej sprawy, Wiceprezesowi Dr. A. Sanderowi.

Wiceprezes Sander zaznaczył, że zaległości niepłaconych wkładek są ogromne. Wydział Towarzystwa wyczerpał wszelkie środki, aby nakłonić restantów do wyrównania wkładek. Usiłowania te były bezskuteczne. — Stan finansowy Towarzystwa wymaga radykalnej decyzji, gdyż mamy duże bieżące płatności, a wyrównanie zaległości większych, napotyka na powszechny kryzys ekonomiczny i brak gotówki u restantów. — Wydział wybrał był Komisję dla tej sprawy, a ta po wyczerpujących debatach, przedkłada Walnemu Zgromadzeniu do uchwalenia następujące wnioski.

1. Składkę na rok 1934 ustanawia się w wysokości 2 zł. miesięcznie, względnie zł. 6 kwartalnie.

2. Odpisuje się zaległości wkładkowe za czas do 31 grudnia 1932 r. tym członkom Towarzystwa, którzy w terminie do dnia 31 stycznia 1934, uiszczą wkładkę w kwocie zł. 36 za rok 1933 i opłacą wkładkę bieżącą. Walne Zgromadzenie nie wątpi, że będą się poczuwali do obowiązku dobrowolnego wyrównania wszystkich zaległości w czasie późniejszym ci z restantów, którym stosunki na to pozwolą.

3. Członkowie zalegający z wkładkami, którzy nie dokonają wpłat w terminie wyżej wspomnianym, odpowiadają za wszystkie zaległe wkładki w dawnej wysokości.

4. Walne Zgromadzenie upoważnia Wydział, by w wypadkach uwzględnienia godnych, regulował spłatę zaległości na dogodniejszych jeszcze warunkach, na wyrażone w tym względzie przez restanta życzenia.

5. Walne Zgromadzenie wzywa wszystkich Panów Delegatów, by dołożyli usilnych starań ku ściągnięciu zaległości i ku regularnemu opłacaniu wkładek bieżących przez członków. — Wydziałowi poleca się wejść w tym celu w ścisły kontakt z Delegatami.

6. Walne Zgromadzenie poleca Wydziałowi ścisłe przestrzeganie postanowień art. XI statutu i skreślania z listy tych członków, którzy mimo pisemnego wezwania, nie uiszczą obowiązujących wkładek.

Referent kończy uwagą, że byłoby wskazane, aby delegaci zajęli się naprawdę szczerze sprawą ściągnięcia zaległości, a między innemi, by powziąć się mające uchwały, podali do wiadomości tych członków, którzy już „Łowca" z powodu niepłacenia wkładek nie otrzymują.

M. Chrzanowski wniósł poprawkę do wniosku tej treści, aby termin do wyrównania wkładek przesunąć do 28 lutego 1934.

Wniosek Wydziału z poprawką M. Chrzanowskiego, został jednogłośnie uchwalony.

Członek Towarzystwa E. Rylski, poruszył sprawę odszkodowań za szkody wyrządzane przez dziki. Istnieje już na podstawie rozporządzenia Ministerstwa czas ochronny dla dzików, a to ma być na zawsze wprowadzone ustawą łowiecką. Właściciele kompleksów lasowych, w których dziki mają swoje ostoje, są obowiązani do płacenia odszkodowań, za szkody przez nie wyrządzane, choć nie mogą w dowolnym czasie przeprowadzać odstrzału dzików. Wnioskodawca np. ma zapłacić tytułem odszkodowania za szkody wyrządzone przez dziki w r. 1933, zwyż 4.000 zł. — Ponieważ wprowadzony czas ochronny dla dzików jest podyktowany ogólnym interesem łowieckim całego Państwa, byłoby wskazanem, aby ten obowiązek przynajmniej w części przyjął na siebie Skarb Państwa.

Po wyjaśnieniach, udzielonych przez M. Chrzanowskiego i wiceprezesa Sandera i po przemówieniu prof. Sołowija, który podtrzymując ideę potrzeby ochrony dzika jako ozdoby naszych kniei, zgodził się z wywodami p. Rylskiego, iż w warunkach ustawowych, odszkodowanie powinno w części ponosić Państwo, oświadczył Prezes hr. Bielski, że podniesione w tej sprawie zapatrywanie i cała kwestja odszkodowania za szkody przez zwierzynę zrządzone, będzie wskazówką dla Komisji nowelizacyjnej przy M. T. Ł., a postulat p. Rylskiego, poddany będzie pod rozwagę Komisji przy Związku, jeżeliby ta jeszcze raz miała nad nowelizacją ustawy łowieckiej się naradzać.

Skoro nikt ze zgromadzonych innych spraw nie poruszył, Prezes zamknął Walne Zgromadzenie, wyrażając podziękowanie Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, za udzielenie sali dla obrad naszego Towarzystwa.

U.

Do niniejszego numeru dołączamy blankiety czekowe, wypełnione kwotą, jaka się Towarzystwu minimalnie należy, w myśl ulg uchwalonych przez Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie z dnia 3 grudnia 1933.

Dla orjentacji P. T. restantów, mianowicie tych, których zaległość jest więcej niż roczna, wypisaliśmy na każdym odcinku „dowodu wpłaty" ołówkiem u góry całą właściwą ich zaległość, której zredukowanie wykazuje kwota wypisana w odpowiedniej rubryce tego odcinku.

Tuszymy, że członkowie Towarzystwa skorzystają skwapliwie z możności uregulowania swych zaległości w sposób obmyślany przez wspomniane Walne Zgromadzenie i zechcą pozbyć się przykrego uczucia niespełnienia zaciągniętych zobowiązań.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI.

Nie ma chyba na świecie zwierzęcia, któreby tak przemawiało do wyobraźni człowieka — jak słoń. Jako typ największego ssaka-czworonoga, zdumiewa swoim ogromem i dziwacznością kształtów — jako istota żyjąca, swojem ustosunkowaniem się do człowieka, który go ujarzmił i do swoich wykorzystał celów.

Te pobieżne spostrzeżenia dotyczą oczywiście słonia indyjskiego, przyswojonego, jakiego przeważnie oglądamy w menażerji lub zwierzyńcu, a to nam nic nie mówi o słoniu dzikim, z którego kadr ów właśnie przyswojony zwierz się rekrutuje. Aby wyrobić sobie pojęcie o właściwej jego jaźni, o wrodzonych cechach charakteru i o trybie życia, musimy go poznać w stanie dzikim — na wolności. Jeśli jest ciekawym objektem badań przyrodnika, pragnącego rozświetlić niedość jeszcze ustalone poglądy na jego istotę, zaś dla myśliwego — jako cel najwyższych aspiracyj łowieckich, to niemniej powinien zainteresować każdego cywilizowanego człowieka — zwłaszcza w dobie obecnej — kiedy kwestja bytu lub zagłady słonia dzikiego stała się aktualną.

Niestety słoń nie jest tak łatwym do podpatrzenia, jakkolwiek jest olbrzymem. Jest coś w naturze jego, że otacza się tajemniczością, że kryje się przezornie — nawet tam, gdzie bliskości człowieka nie wyczuwa. Jest bardzo płochliwy, jakkolwiek potrafi być odważnym aż do zapamiętania, a nawet prowokującym, gdy pewne warunki ku temu zaistnieją.

Jakże więc obserwować go na wolności, gdy główne ostoje, gdzie ogniskuje się jego życie rodzinne — to zdradliwa, gęsta dżungla, ciemny las podzwrotnikowy, przepaściste stoki gór, lub zarośnięte trzcinami bagno?

Pomijając warunki klimatyczne krajów gorących, niezbyt badaczowi takiemu sprzyjające oraz inne grożące mu niebezpieczeństwa — najgroźniejszym dlań będzie zawsze sam przedmiot badań — słoń, który nie znosi, aby go we własnym domu niepokojono.

Bo jakże wygląda taki badacz-obserwator w porównaniu z tym olbrzymem? — Mały Dawidek wobec prawdziwego Goljata!...

Wobec tego czyż znajdzie się dużo takich zapamiętałych przyrodników, którzyby podjęli się wdzierać do jego sanktuarjów, gdzie odbywają się najbardziej tajemnicze sprawy jego bytowania?

Badacz taki, jeśli go chce obserwować na wolności — musi być równocześnie także myśliwym, i to myśliwym nie byle jakiej miary.

Jeśli więc posiadamy już o słoniu dzikim dużo i pewnych wiadomości, zawdzięczamy to przedewszystkiem myśliwym, którzy nań polowali. Byli to myśliwi różnych czasów, tak biali, jak i kolorowi. Badania takie leżały w ich własnym interesie, bowiem bez tych wiadomości nie mogli liczyć na powodzenie w łowach. Wszystkie te jednak spostrzeżenia dostawały się do nas we formie mglistej, a czasem wprost niewiarygodnej. Dopiero myśliwi biali ostatnich czasów wiadomości te prostowali i uzupełniali, i dzięki im, mamy już obecnie literaturę o słoniu dzikim nawet dość obszerną. Co więcej — w miejsce dawniejszych rysunków i malowideł, niezawsze zgodnych z rzeczywistością, mamy doskonałe zbjęcia fotograficzne, robione na miejscu, a także — jako wyraz największego postępu — zdjęcia kinematograficzne. Przedewszystkiem te ostatnie mają charakter dokumentów naturalistycznych*).

Są to poprostu cuda techniki, wytrwałości — i odwagi operatora. Słoń przedstawiony na tle rodzinnych pieleszy — czy to we filmie niemym, czy to dźwiękowym, przemawia lepiej do przekonania widza, aniżeli najsumienniejszy opis w książce.

Co prawda są to tylko oderwane fragmenty, ustępy z tajemniczego poematu jego życia, ale dające już przedsmak tego — jak ciekawym musi być ten poemat w całości.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

Na globie naszym żyją dwie odmiany, a właściwie dwie rasy słoni: słoń indyjski i słoń afrykański. Obie te rasy są mieszkańcami strefy gorącej. Ojczyzną pierwszego są oba półwyspy Indyj — przed- i zagangesowych, oraz wielkie wyspy, w prawiekach od stałego lądu oderwane, jak Cejlon, Sumatra, Jawa i Borneo. Jako zwierzęta dziko żyjące, przebywają w dziewiczych lasach tych krain, z właszcza w pobliżu wód, koniecznych dla nich do częstych ablucyj. Znajdujemy tam także słonia przyswojonego, jako zwierzę domowe, a pochodzi również z tej samej rasy słoni dzikich, w tym celu łowionych i odpowiednio tresowanych.

Ojczyzną słonia afrykańskiego, to niemal cała Afryka, z wyjątkiem pustyń bezwodnych, jak Libja i Sahara.

W przeciwieństwie do swego pobratymca z Indyj — przebywa chętnie nietylko w dziewiczych lasach i gęstej dżungli, ale także na otwartym stepie i sawannie, o ile tylko są obficie nawodnione.

Znamy go jedynie jako zwierzę dziko żyjące. Czy rasa ta była kiedykolwiek przez człowieka przyswojoną, — nie mamy niestety dowodów. Że próby udomowienia słonia afrykańskiego, i to od zamierzchłych czasów, były robione — wątpić nie można, a to, że w tym lub owym wypadku nie osiągnięto zamierzonego celu, nie jest jeszcze dowodem, że zwierzę to oswoić się nie da. Ogólnikowe twierdzenia, że jego wrodzona, dzika natura oraz brak inteligencji stoją temu na przeszkodzie — nie wytrzymuje krytyki wobec przeciwnych dowodów ze strony myśliwych-badaczy nowszej doby, a także wobec doskonałych wyników szkoły tresury słoni afrykańskich w Api (Kongo belgijskie), o czem jeszcze później będzie mowa.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

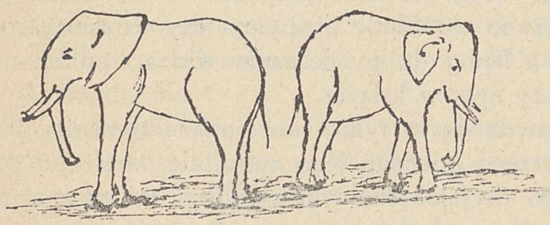
Obie te rasy mimo pozornego podobieństwa, wykazują dużo różnic, tak anatomicznych, jak i biologicznych. Dla

*) Najlepsze i najwiarygodniejsze — wyszły z ręki M. Johnsona, Amerykanina, robione dla tamtejszych muzeów przyrodniczych.

przeciętnego człowieka, są one małego znaczenia, są jednak ważne dla przyrodnika, który pragnie rozpoznać ich pochodzenie i stopień pokrewieństwa, a niemniej dla myśliwego, który zamierza na nie polować.

Zewnętrznie, ujawiają się te różnice przedewszystkiem w ich wielkości. Słoń indyjski, lubo kolos w naszych oczach — jest mniejszy od słonia afrykańskiego, a także — ile o samce chodzi — ma kły niklejsze, zaś samica jego w przeciwieństwie do swych krewniaczek z Afryki, wogóle kłów, wystających poza wargi — nie posiada.

Sylwetki słoni z profilu:



Słoń afrykański Słoń indyjski

Uszy słonia indyjskiego są proporcjonalne do jego statury, podczas gdy słoń afrykański ma uszy olbrzymie nakształt wachlarzy, co najdobitniej charakteryzuje tę rasę.

U słonia indyjskiego trąba zakończona jest rozciągalnym wyrostkiem t. zw. palcem, który mu pozwala podnosić bardzo drobne przedmioty, u słonia afrykańskiego widzimy takich palców dwa, umieszczonych naprzeciw siebie. Słoń indyjski ma u stopy — tak przednich jak i tylnych nóg po cztery kopyta, względnie paznogcie, jako zakończenie ukrytych w niej palców, słoń afrykański — po cztery u przednich, zaś po trzy u tylnych odnóży.

Także sylwetki ich, zwłaszcza z profilu, wykazują w górnej linji swej, charakterystyczne różnice, kiedy bowiem słoń indyjski ma czoło nachylone prostopadle do osi poziomej ciała i grzbiet dobrze wypukły z najwyższem wzniesieniem w tylnej połowie — to słoń afrykański ma czoło skośne, wtył cofnięte, grzbiet nieco wklęsły, a głowa i kark wykazują najwyższy punkt w jego zewnętrznej budowie.

— — — — — — — — — — — — —

Słoń uważany był zawsze za zwierzę żyjące bardzo długo. Na temat ten krążyły nawet wprost nieprawdopodobne legendy. Dziś przyjmuje się granicę wieku słoni żyjących na wolności — do 150 lat. Dla zwierzęcia tak ogromnego, rosnącego bardzo powoli, bo osiągającego zupełną dojrzałość dopiero między 30 a 40 rokiem życia — to niezbyt wiele. Nie będę tu walczył o słonia indyjskiego, ale o ile chodzi o afrykańskiego, to wolałbym tę granicę przesunąć do lat 200. Byłoby to zgodne z zapatrywaniem Burów, którzy jeszcze przed stu laty na słonie polowali, i mogli wówczas zetknąć się z takiemi okazami staruszków, jakich w dobie obecnej już na całym kontynencie afrykańskim nie znajdzie. Jeżeli słoń w Indjach mógł żyć w niewoli 130 lat, co jest stwierdzone, dlaczegożby słoń na wolności nie mógł osiągnąć 200 lat życia? A przecież słoń taki nie spacerował sobie swobodnie, jak jego dziki brat w dżungli, lecz wykonywał nieraz ciężkie prace, które mu chyba życia nie przedłużyły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STANISŁAW KORWIN-MILEWSKI

Niemiłe przygody

(Wstęp — Rogacz widmo — Żbik na jamach — Przypadkowy dublet — Postrzelony chłopak — Kanonada do dzików — Mobilizacja — Fatalna pomyłka — Lis w kotle — 7 lisów chybionych — Twardy dzik z Zaczernia — Rogacz i dzik mego szwagra — Pada 200 sztuk a ja nic — Polowanie-jarmark — Podjazd z pannami — Fatalna aura — Zemsta kłusownika — Dziki w Strzałkach — Leśniczy oczyszcza zręby ze zwierzyny — Pomorski rogacz — Koza i zając).

W życiu myśliwego różnie się plecie. Za młodu prawie każdy myśliwy jest nienasycony, wre w nim nietylko młoda krew, ale i zapamiętałość zwykle wielka, strzelać chce dużo, poluje przeważnie dla strzału, jest tylko strzelcem. Potem przychodzi zastanowienie, przychodzą refleksje, młody strzelec zaczyna się nad łowiestwem zastanawiać, spotyka poważnych myśliwych, niekiedy ma szczęście spotkać wielkich i doświadczonych łowców w życiu — młody strzelec poddaje rewizji swój światopogląd na łowiectwo, przestaje być strzelcem, staje się myśliwym. A jeśli taki myśliwy wierną dla naszego Patrona służbą zaskarbi sobie Jego szczególne łaski — wyrabia się z czasem na poważnego łowcę, na rycerza Św. Huberta.

Gdy robię rachunek mego łowieckiego sumienia, to przypominam sobie różne etapy mego życia ze strzelbą i różne przypominam sobie przeżycia. Niegdyś i ja byłem młodym strzelcem, palącym się do strzału „jak ogórek do lampy", uganiającym całymi dniami po polach, mokradłach i łąkach, dla którego duża ilość nastrzelanych przepiórek, kuropatw, kaczek czy zajęcy, była celem, a łatwe rekordy przyjemnością. — Jednak ta furja „rekordów strzeleckich" nie trwała u mnie długo. Na drodze mego życia spotkałem od wczesnej młodości poważnych bardzo myśliwych, a już w latach mych studjów uniwersyteckich miałem szczęście zbliżyć się do takich łowców, jak niezapomniany ś. p. Dr. Tadeusz Sołowij, i do tych, którzy razem z nim w tych czasach polowali. To też w stosunkowo młodym wieku przestałem być strzelcem, a stałem się wyznawcą Św. Huberta.

Dzięki stosunkom i przyjaźniom wtedy zadzierżgniętym, uczestniczyłem w życiu w wielu poważnych łowach, na których przeżyłem niejedną wielką i podniosłą chwilę, niejednej od naszego Świętego Patrona doznałem łaski. Nigdy nie zapomnę kilku zwłaszcza przepięknych epizodów mego łowieckiego życia. Do najpiękniejszych zaliczam wspomnienie z mego pierwszego podjazdu na rogacza w prześliczny wieczór lipcowy, celny strzał do mego pierwszego dzika w wysrebrzonym śniegami praborze, pierwszy wiosenny ciąg słonek, który mnie prawie mistycznym swym urokiem za serce chwycił i na zawsze zaślubił z knieją, pierwszy wieniec zdobyty na rykowisku w Karpatach, pierwszy wiosenny tok zasłyszany na „dalekim mszarze".

Kochając łowiectwo, chciałoby się o tem tylko marzyć, mówić, pisać. Ale jakże tu pisać, do „Mozaiki dziczej" gdy się czytało, a czytając, przeżywało „Szczęśliwe dni" Stefana Badeniego; jak tu pisać o jeleniach, rykowisku, czy Karpatach, gdy się jednem tchem czytało wspaniale

rzeczy znakomitego znawcy gór Alberta Mniszka; jak opisywać fascynujące jakieś łowy, gdy mamy w naszej literaturze łowieckiej przepiękne książki ś. p. Juljana Ejsmonda. Więc dajmy spokój tej „Królewskiej pieśni“ — o innym pogwarzmy temacie.

W życiu myśliwego różnie się plecie. Są w tem życiu chwile piękne i wspaniałe, są chwile tak górne i tak słoneczne, że przez resztę życia jużby się nawet wspomnieniami żyć mogło, ale są i niemiłe przygody. O przygodach tych zwykle myśliwy nie lubi wspominać — a czasem się nawet gniewa, gdy ktoś z towarzyszy mu je przypomni. A jednak te niemiłe przygody łączą się z życiem łowca i tworzą jego część — są fragmentem naszych przeżyć łowieckich, fragmentem nieraz ciekawym i godnym pamięci. Dziś ryzykując może trochę, że się ktoś na mnie pogniewa, a potem wspaniałomyślnie przebaczyć mi raczy, opowiem kilka takich niemiłych przygód łowieckich.

* * *

Na kilka lat przed „Wielką Wojną” polował w Rudnej na rogacza jeden z moich wujów K. J., wytrawny myśliwy, dobrze strzelający kulami. Pojechałem z nim na podjazd. Była tego dnia wielka mgła, utrudniająca bardzo polowanie, to też podjazd nie dał dodatniego rezultatu. Już wracaliśmy do domu, gdy w saradeli pod lasem zobaczyliśmy dobrego szóstaka. Wuj szybko z wozu podjazdowego zeskoczył i błyskawicznie strzelił do rogacza, który znikł nam z oczu po strzale. Zatrzymałem wóz a wuj zadowolony ze spotkania, zawołał do mnie: „Tak padł, jakby kto świecę zdmuchnął“ i poszedł na miejsce, gdzie rogacz powinien był leżeć. Podążyłem za wujem. Rosa była tego dnia, jak dziś pamiętam, wspaniała, ale rogacza nie było w saradeli ani śladu, zniknął jak kamfora. Dostał on niezawodnie bardzo wysoką kulę nad kręgosłupem, co spowodowało, że chwilowo porażony upadł. Zagadani musieliśmy nie zauważyć tej chwili, gdy rogacz wstał i wyniósł się pod ochroną mgły do lasu. Natomiast „stary Sadlej“ nasz kochany woźnica podjazdowy twierdził stanowczo, że to był „rogacz — widmo“.

Św. Hubert raczył udzielić mi tej łaski, że w moim życiu kilka żbików zabiłem, ale jedno spotkanie pamiętam najlepiej, bo było arcyniemiłe. Działo się to w Czarnołożcach po wielkiem polowaniu, na którem oprócz innej zwierzyny, padł także piękny żbik. Dzięki uprzejmości gospodarza p. Adama Ścibor-Rylskiego, polowaliśmy dnia 17 stycznia 1910 na lisich jamach na żbiki, które tam były otropione. Nad wylotami jam stanęli w skupieniu gospodarz, jego szwagier p. Franciszek Ścibor-Rylski i podpisany. Ledwo pieski puszczono do jamy, a tu między mną a gospodarzem wypadł jak z procy przepiękny żbik. Z przerzutu strzeliłem — żbik zrulował jak zając. — Uszczęśliwiony podchodzę do gospodarza i składam mu serdeczne podziękowanie za to tak ładne dla mnie spotkanie, gdy on w odpowiedzi zupełnie speszony zapytuje się mnie: „jakto, to i pan strzelał do tego żbika?“ Tableau! Okazało się, żeśmy obaj jak na komendę do żbika strzelili i to tak niebywale równocześnie, że nietylko żaden z nas strzelających nie słyszał strzału drugiego, ale nawet p. Franciszek Rylski był przekonany, że padł tylko jeden strzał do żbika. Każdy z nas miał w lufie strzelby na pamiątkę dnia wystrzeloną gilzę i przekonanie, że dobrze strzelił do żbika. Żbik zdobi prawdopodobnie do dzisiejszego dnia gościnny dwór w Czarnołożcach, ale nie zdobi dziennika łowieckiego ani u mnie, ani u gospodarza. — Nikt go nie zabił, zginął poprostu ze strachu. Że taki rezultat nie jest przyjemną przygodą łowiecką, szanowny czytelnik napewno mi przyzna. Inna rzecz, że nastrój w kniei był przemiły, przemiłą gościnność szanownych gospodarzy pp. Adamów Ścibor-Rylskich a chwile tam spędzone ze strzelbą, do najmilszych zawsze zaliczam.

Tego samego roku, bo dnia 2 lipca 1910, strzeliłem w Rudnej na rannym podchodzie rogacza. Rogacz po strzale dobrze zaznaczył i poszedł szalonem tempem w miot. Ostrożnie idę za nim przekonany, że nie mógł pójść dalej jak kilkadziesiąt kroków. Wtem spostrzegam stojącą za drzewem sztukę i przekonany, że to mój rogacz, w sekundzie strzelam, a sztuka w ogniu ruluje. Idę do ubitej sztuki (ładnego szóstaka) i napróżno szukam za dwoma kulami, jest tylko jedna dobra, na łopatce. Zaalarmowany strzałami, przychodzi do mnie leśny ś. p. Piotr Przybyła; radzimy z nim chwilę nad rogaczem, który po mym pierwszym strzale tak dobrze zaznaczył, a tej pierwszej kuli niema ani śladu i nie rozwiązawszy tego problemu, idziemy wreszcie z ubitym rogaczem w stronę linji leśnej na miejsce skąd strzelałem. Po drodze wchodzimy formalnie na pierwszego rogacza, który otrzymawszy kulę trochę za łopatką, poszedł po strzale kilkanaście kroków i padł martwy. Tak w ciągu kilku minut zrobiłem prawie dublet na podchodzie do rogaczy, nie wiedząc wcale o tem. Oba rogacze były dobrymi szóstakami, ale ten drugi rogacz mógł być nawet kozą, gdyby nie specjalna łaska Św. Huberta dla młodego i gorącego myśliwego i dlatego i ten epizod myśliwski do niemiłych przygód zaliczam.

Dnia 3 stycznia 1912, miałem okropny wypadek o którym zawsze z największą przykrością wspominam, choć Bogu dzięki skończył się szczęśliwie. Polowałem w Rudnej z towarzyszem moich lat młodości, p. Franciszkiem Ścibor-Rylskim i ze ś. p. leśniczym Aleksandrem Karczyńskim na zające. Dzień był mroźny i gołoledź. — W jednym miocie staliśmy tak, że za plecami mieliśmy wysoki las (oddział Ługi), a przed nami pędzony miot: młode zapusty. Przed mojem stanowiskiem była mała łączka, zwykle wodą zalana, a wtedy pokryta lodem. „Anlauf“ zajęczy miałem w tym miocie duży a strzelałem bardzo celnie, ale zato mniej ostrożnie. Bawiło mnie ogromnie, że każdy strzelony na tej tafli lodowej szarak, jechał po śmiertelnym strzale jak na łyżwach przez łąkę. Nagonka się zbliżała, — jeszcze jeden zając pomknął — strzeliłem i zając zrulował w ogniu, ale równocześnie rekoszet śrutowy od lodu trafił w usta chłopca z nagonki, wybijając mu zęba. Nic się chłopcu na szczęście groźnego nie stało, za ból i za zęba dostał sowitą odprawę, ale przeraziłem się wtedy tym wypadkiem ogromnie. Do dziś dnia, wyrzucam sobie tę lekkomyślną nieostrożność moją i uważam stale bardzo.

W dniach 29, 30 i 31 stycznia 1914 r., odbyło się śliczne polowanie w Rudnikach u Dr. Michała barona Moysy. Padł jeden dzik, 5 lisów, jedna łasiczka, 2 bażanty i 293 zajęcy, ale paść mógł niejeden ale kilka, a może i kilka-

naście dzików, gdyby nie okropny pech, jaki towarzyszył nam w chwili spotkania się z dzikami. Jak było opowiem — a opowiem ze zgrozą. Kończył się właśnie miot, w którym dzików się już nie spodziewano, — brano duży las, a za plecami myśliwych był duży parów czy wąwóz, rzadko zalesiony — a więc strzał za siebie był tam doskonały. Raptem jak z pod ziemi, wysypało się całe stado dzików, przedarło się przez linję strzelców, przedefilowało za plecami kilku myśliwych i zaczęło powoli spuszczać się w zasypany śniegiem parów. Prawie cała linja do tych dzików strzelała, kanonada była szalona, a kule tak świeszczały, że robiło to zupełnie wrażenie potyczki. Rezultat o zgrozo: jeden, wyraźnie jeden dzik. Zasłużyliśmy w skórę od kochanego gospodarza, który musiał być wściekły, ale poczciwie nam tego wtedy nie okazał, i zamiast wyrzucić fuszerów, jeszcze gościł nas serdecznie.

Dnia 31 lipca 1914 r. siedząc w Rudnej na zasiadce i czekając na rogacza, który nie wyszedł, strzeliłem z Schönauera lisa. W kilka minut potem przybiegł do mnie z domu specjalny posłaniec z wiadomością, o ogłoszeniu ogólnej mobilizacji. Wybuchła „Wielka Wojna", świat miał spłynąć krwią, przyjść miało całe morze nieszczęść — to także wspomnienie nie z tych najmilszych w życiu. (Dok. nast.)



JAROSŁAW HUBÁLEK

Czubuś — jarząbek

Autoryzowany przekład Wł. Karnkowskiego.

Wśród rozległego młodnika, pod gęstym leszczynowym krzakiem, prawie niewidoczny dołeczek, wygrzebany w wonnym humusie — to gniazdo jarząbka, a w niem dziesięć jajek, wielkości kurzych. Leżą równiótko obok siebie, brunatne, ciemniej centkowane. — Matka co jeno odbiegła trochę pożywić się i wykąpać w pyle niedalekiej drogi leśnej. Wróci jednak — wróci niezadługo, bo wie, że bez niej nad gniazdkiem czuwa jeno las, a temu nie można zbytnio ufać. Męża nie widziała od tej chwili, w której usiadła na jajkach. A taki był niecnota rozkochany, w marcu jeszcze i kwietniu przysięgał jej wieczną miłość, codziennie wyśpiewywał swe dozgonne śluby... A jak był zazdrosny! Pewnemu rywalowi, dobremu zresztą znajomemu, ledwie oka nie wydziobał i gnał go hen — za szczyt góry... Szczęśliwe to były dni... Tak dumając — rozkosznie rozłożyła do słońca lewe skrzydełko, a leniwie wyciągnięta na bok, wyprężyła z lubością obie nóżki, zbolałe od długiego siedzenia.

Coś zaszemrało w gęstwinie. Zbudziła się z marzeń, ostrym kłusem pośpieszyła do gniazda. Bogu dzięki — nic się nie stało. Szybko przewróciła jajeczka, przeliczyła i usiadła. Cierpliwości! Już niedługo tej katorgi, już czuje, wyraźnie czuje nowe życie pod sobą.

I rzeczywiście — po tygodniu wyszła z jajka pierwsza ptaszyna, mokra i umazana, jak nieboskie stworzenie. — Jeno maleńkie oczka, jak dwa czarne djamenty świecące wśród sterczących, rozwichrzonych piórek, świadczyły, że to istota żywa, nie jakieś leśne straszydełko.

Troskliwie schowała je pod skrzydłem, a gdy obeschło, jęła podbródkiem przyczesywać rozczochrane piórka. — Całe ciałko już było w porządku, z jedną jedyną główką nie mogła sobie dać rady. Wszystko na nic! Wciąż sterczy i sterczy na ciemieniu tych kilka niesfornych włosków! Ze złości nazwała pisklę Czubusiem i dała spokój daremnej pracy. Nie było zresztą czasu, bo już dwie nowe główki wyglądały ze skorupek, a do wieczora była cała gromadka gotowa. Niema co — matulu! musisz się dziś wyrzec i śniadania i kąpieli!

Przez noc kurczątka wyschły i rano pod przewodem matki, podreptały chwiejnym kroczkiem w gąszcz.

Była to puszcza. Leszczyna, buk, grab, tu i ówdzie jesion, jawor i Bóg zresztą wie — co. Na małych haliznach, splot ostrych, twardych ostrężyn. Mały Czubuś stąpnął nieostrożnie i skaleczył się biedactwo w nóżkę. Boże! co tu bylo płaczu i pisku! A matka nic — — — trudno — — — to prawo puszczy, a jego pierwszy paragraf to: baczność — uważaj! Prawo jest nieugięte, nie zna litości, karze okrutnie, przeważnie śmiercią. Pod wpływem bólu — zrozumiał to nasz Czubuś. I nic dziwnego; choć jeszcze pisklę, miał we krwi instynkt, którego tak niemiłosiernie natura odmówiła pisklętom ludzkim.

Przemykając się gąszczem, znalazła się cała rodzina pod wielkim, spróchniałym pniem, gdzie czuła opiekunka odłupała dziobem i pazurkami płat zmurszałej kory. Boże! jakie skarby! aż się roi! Po pierwszych nieudanych próbach, szło coraz lepiej, malutkie dziobki pracowały coraz skuteczniej, prym oczywiście trzymał Czubuś, jako najstarszy, no — i najgłodniejszy. — Po sutem śniadaniu, udała się nasza gromadka na plażę. Tu maleństwa, choć naśladowały zachowanie się matki, nie mogły w żaden sposób zrozumieć, w czem leży rozkosz przeciągania się i paprania w piasku. Nie szkoda czasu? Nie lepsza cicha gęstwina z jej mnóstwem przysmaków?

Przenocowali niedaleko gniazda pod ogromnym liściem łopianu. Z pierwszym brzaskiem zbudził się Czubuś na głos matki i wyjrzał ciekawie z pod skrzydła. Z daleka, z pośród splotu traw i gałęzi, coś cicho pisnęło, na co jarząbka odpowiedziała, nie ruszając się z miejsca, tym samym tonem, poczem ozwał się ostry szum skrzydeł, aż Czubuś z przestrachu zamknął ślepki i schował główkę pod skrzydło matki. Ciekawość jednak przemogła —

otworzył powieki i ujrzał ptaka, bardzo podobnego do matki, choć wiele przystojniejszego i lepiej odzianego. Grzbiet miał ciemny, spód jasny jak matka, na głowie zaś nosił kołpaczek o wiele ładniejszy, niż skromny matczyny czepeczek. Na twarzy miał dwa piękne, czerwone koraliki, a pod brodą wielką, czarną krawatkę. Stał przed nimi pyszny, jak rycerz z bajki. Czubuś zrazu zląkł się gościa, ale strach minął szybko, gdy matka uspokoiła malców, że to ojciec i bać go się nie trzeba. Razem wyszli na ranną przechadzkę, razem spożyli śniadanie, ale jakie śniadanie! Tata znał każdy pień, każdy kamień, każdą ścieżkę; wiedział, gdzie poprowadzić, wiedział, gdzie stół najlepiej zastawiony. Matce spadł kamień z serca, nad bezpieczeństwem czuwał ojciec, bywalec kuty na obie nóżki, przezorny i doświadczony. — Lecz co to pomoże tam, gdzie fatum czyha na każdym kroku, a djabeł chyba nigdy nie śpi?

Jakoż ledwie maleństwa skończyły trzeci dzień życia, spotkało je pierwsze nieszczęście. W nocy padał deszcz, woda kapała z każdej trawki, z każdego liścia, drobiazg przemókł do suchej nitki, więc z nastaniem dnia wyszli wszyscy na odkryte miejsce, osuszyć się trochę w cieple słońcu. Natrafili na ścieżkę zajęczą, a że szło się po niej wygodnie, więc pobiegli wesoło aż na ciepłe i suche kamieniste zbocze, zrzadka porosłe smaczną ostrężyną.

Na ciepłym kamieniu wygrzewała się właśnie — zdradziecka żmija. Na widok małych kurczątek szelmowsko przymknęła oczy, zwijając się nagłym ruchem w spiralę. Gdy małe, nie przeczuwając nic złego, przybliżyły się jeszcze więcej, Czubuś ledwie dostrzegł błyskawiczny wyrzut ciemnej sprężyny, po którym rozległ się żałosny pisk jego siostrzyczki. Zrazu myślał, że rodzice rzucą się na ratunek. Stało się jednak inaczej. Znali prawo puszczy, więc z największym pośpiechem uprowadzili dzieci w gęstwinę, nie myśląc o obronie maleńkiej ofiary. Czubuś był wściekły i na żmiję i na obojętność rodziców, lecz posłusznie śpieszył za nimi, choć zapał bojowy podnosił mu piórka na ciemieniu.

Nieszczęście nigdy nie chodzi samo. — Ledwie w tydzień po opisanym wypadku, gdy cała rodzina zażywała kąpieli piaskowej, jak piorun, uderzył krogulec. Jedno mgnienie oka — i znikł, a z jego zniknięciem umilkł żałosny pisk kurczątka. Tym razem ojciec przez dłuższy czas nie pozwolił opuszczać puszczy w obawie, by krogulec, mający w gnieździe pięcioro wiecznie głodnych żarłoków — nie powrócił po dalszą ofiarę.

Wieczorem zaś, przed spoczynkiem, ojciec-jarząbek wykładał malcom prawo puszczy, przechodząc jeden paragraf za drugim. Pierwszy brzmi: żyw się, jak możesz! Zbieraj chrząszczyki, larwy, mrówki, nawet leśną pszczołę (zawsze od przodu, bo tyłem kąsa boleśnie), a gdzie niema mięsa, tam są jagody, ostrężyna, jarzębina, a gdzie i tego nie znajdziesz, bierz pączki, bo i te są dobre, zwłaszcza leszczynowe i topolowe zimową porą. — Na dziś było tego dość, oczki się kleiły, główki chowały pod skrzydła rodzicielskie i niebawem cała rodzina usnęła.

Kilka dni minęło bez żadnego wypadku. Czubuś rozwijał się na duszy i na ciele. Rósł, jak na drożdżach, a w gąszczu orjentował się doskonale. Nie było jednego źdźbła, jednej gałązki, którejby nie znał. Zawadjaka i awanturnik, wciąż przekomarzał się z rodzeństwem, zwłaszcza zaś przy mrowisku, z gniewnie zjeżonemi piórkami na głowie, formalne bitwy staczał o smaczniejsze kąski. Ojcu serce rosło na widok jego odwagi, połączonej z przezornością. Malec bowiem nie uczył się, a wprost odgadywał prawo puszczy, umiejąc stosownie do potrzeby, to zjeżyć wojowniczo piórka, to znów roztropnie dać nurka w gęstwinę.

Z biegiem dni zmieniło się i pożywienie. Śniadania jadano tylko mięsne przy pobliskiem mrowisku i dopiero skoro rosa obeschła, wyruszano na bujną trawą porosłe zręby. Boże! ile tam było przysmaków! Na niskich krzaczkach czerwieniły się poziomki, a chociaż ostrężyny, jeszcze niedojrzałe nie smakowały, za to słodziutkich, czerwonych malin leśnych było w bród. — Nie wszystkie wprawdzie wisiały nad samą ziemią; czasem wystarczyło podskoczyć, a czasem połknąć ślinkę, obejść się smakiem i szukać innej.

Tak oto żyły sobie kurczątka, rosły, a zwłaszcza mądrzały. Mówię „zwłaszcza“, bo czegóż więcej potrzeba leśnemu tworowi nad mądrość? Bez niej jest on igraszką w rękach losu — a właśnie ten zły los gotował naszej gromadce nowe, srogie nieszczęście.

Pewnego dnia powracała sobie, radosna i syta, ze zrębu, gdy nagle mignął cień jakiś i ogromny jastrząb spadł na ojca-jarząbka, rozbijając mu dziobem głowę. Stało się to z tak niepojętą szybkością, że ledwie biedak zdążył raz jeden krzyknąć rozpaczliwie i skonał w szponach rozbójnika. Przerażona gromadka, rozbiegła się w popłochu na wszystkie strony. Dawno już jastrząb zaniósł na gniazdo swą ofiarę, a Czubuś wciąż jeszcze trząsł się ze strachu pod kłodą spróchniałego buku. — Noc tę przespał sam. Od matki już odwykł, zresztą i tak wszyscy nie pomieściliby się już dziś pod jej skrzydłami.

Zmienili się też znacznie. Lotki w skrzydełkach porosły, a niemowlęcy puszek zastąpiły bronzowawe, popielato nakrapione piórka. W naszym Czubusiu zbudził się dziwny jakiś pęd, jakaś tęsknota do przestrzeni. Sto razy na dzień rozpinał skrzydełka, machał niemi i cieszył się wiatrem, jaki przez to robił. Parę razy udało mu się oderwać na chwilę od ziemi. Trwało to krótko, bardzo krótko, może dwie sekundy, ale Czubuś był strasznie dumny i szczęśliwy z tej nowej siły, która w nim się rodzi, z tego przyszłego oręża do walki z niebezpieczeństwem. Ćwiczył się wytrwale, a że i lotki rosły i nabywały elastyczności i mięśnie się rozwijały, więc też kiedyś, ku niezmiernej radości i zdumieniu, biegnąc przy równoczesnem machaniu skrzydełkami, wzniósł się i przeleciał dobre trzy metry. Trenowała pilnie i reszta rodzeństwa i to tak pilnie, że po tygodniu, przelecieli wszyscy za matką przez szeroki wąwóz na sąsiednie zbocze, porosłe starodrzewem.

Jedna z sióstr Czubusia tak nieszczęśliwie skaleczyła się cierniem w nóżkę, że z wielkim wysiłkiem — biedaczka skakała na jednej, na noc zaś tuliła się pod matczyne skrzydło, Czubuś natomiast stale nocował na niskich gałęziach, jak przystało na dorosłego młodzieńca.

Pamięć ojca powoli się zacierała, dnie płynęły spokojnie, bez przygód i zdawało się, że miara nieszczęść rodzinnych już się wypełniła.

Aż pewnej nocy zbudził Czubusia ze snu jakiś szelest. Słabiutki był, lecz wystarczył dla słuchu dziecięcia pu-

szczy. I ledwie Czubuś zdążył otworzyć oczka i podnieść czujnie główkę, już stara kuna trzymała matkę-jarząbkę za gardło, w sekundę zaś potem ten sam los spotkał kulawą kalekę. — Pozostała gromadka była już zupełnie osierocona. Bez przewodnictwa i opieki, jedyną nadzieję pokładały te niedobitki tak licznej niedawno rodziny — w skrzydłach. Bo lecieć umiały już 50 i 100 metrów — i to nie polaną wolną, lub nad drzewami, ale jak przystało na jarząbka, kluczkami i zygzakami wśród najgęstszych gałęzi, w czem jedna chyba słonka mogłaby im sprostać!

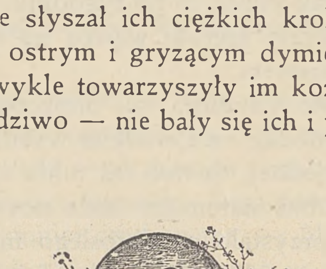
Sieroty po krótkiej naradzie rozeszły się. Ostatni łącznik rodzinny — matka — zginął od zębów kuny, zbrakło przewodnika, zbrakło autorytetu. Przez parę dni trzymały się jeszcze razem, nocowały blisko siebie, poczem odłączył się jeden, drugi, trzeci... Za ich przykładem poszedł i nasz Czubuś. Pięknego poranku ujrzał przed sobą szmat nowej gęstwiny na sąsiedniem zboczu, przeleciał tam i pozostał na stałe.

Opadły już maliny, za to na małych, twardych krzaczkach leśnych łąk — ponętnie czerwieniały brusznice. — Smaczne były i orzeźwiające, ale przecież nie tak słodkie, jak maliny i poziomki.

Pewnego razu przerwał śniadanie Czubusia ostrzegawczy krzyk sikorki. Podniósłszy ciekawie główkę, usłyszał jakieś niezwykłe, nieznane dotąd głosy. Ni to pisk, ni skrzek lub szczekanie. Wystraszył się okropnie, a równocześnie przypomniał sobie paragraf prawa puszczy: uciekaj, jeśli musisz, ale póki nie musisz przywaruj, i nie zdradzaj swej obecności! Przyczaił się tedy, ale widział wszystko dokoła. Na kraju lasu pojawiły się jakieś trzy nieznane istoty. Czworonożne, a chodziły na zadnich nogach, w przednich trzymając wierzbowe koszyki, czy kobiałki — tego Czubuś nie mógł dojrzeć, a może i nazwać. A jak śmiesznie żerowały! Zamiast brać brusznice, jak on, dziobkiem i połykać, brały je w pazurki przednich nóg i wkładały do wierzbowego naczynia. Śmieszne to było, ale i podejrzane. Gotowy do lotu patrzył dalej. Owe postacie, sądząc z cienkich głosów, choć duże, musiały być niedorosłe. Jedna z nich szła przodem, rozglądała się, wskazywała krzaki brusznic — to pewnie samczyk; dwie inne posłusznie zbierały — to samiczki. — Widział już dosyć, wybrał chwilę, kiedy obce twory zwrócone były w inną stronę, furknął i uleciał. Dziewczynki się przestraszyły, chłopiec puścił za nim kamień tuż — tuż i takie było pierwsze spotkanie Czubusia z ludźmi, niekoniecznie miłe.

A spotykał ich teraz dość często. O ile z wysokiej, bukowej gałęzi nie słyszał ich ciężkich kroków, wyczuwał ich bliskość po ostrym i gryzącym dymie, jaki ze siebie wypuszczali. Zwykle towarzyszyły im kozy, konie i krowy, które — o dziwo — nie bały się ich i pasły obok nich spokojnie.

Dok. nast.)



WŁADYSŁAW GUERTLER

Prawo łowieckie

(Na marginesie proponowanych w „Łowcu“ przez prof. Domaniewskiego pewnych, zasadniczych w niem zmian).

Kwestjonując czasy ochronne, ustanowione w art. 49 i 50 Prawa łowieckiego dla różnych naszych zwierząt łownych, proponuje prof. Domaniewski ze swej strony inne i wylicza zarazem te zwierzęta, o których w ustawie niema mowy, względnie dla których nie rezerwuje ona żadnej ochrony, a które zdaniem profesora, na nią przecież zasługują, np. wilki wśród ssaków, a gołębiarze, krogulce, wrony i sroki wśród ptaków.

W uzasadnieniu swego projektu pisze: ...„ze względów etycznych i ze względów ochrony przyrody uważam, że **wszystkie** gatunki zwierząt powinny mieć czas ochronny“...

Zgodziłbym się z nim na ochronę niedźwiedzia i rozszerzyłbym ją nawet na szereg lat, aż do czasu, dopóki nie stanie się szkodnikiem, lisa, w czasie od 15 kwietnia do 30 września, zająca-szaraka od 15 stycznia do 20 października, dzika od 1 marca do 30 czerwca, rogacza od 15 stycznia do 15 czerwca, dzikich kaczek od 1 grudnia do 20 lipca i **całkowitą ochronę kaczorów na wiosnę,** kuropatwy od 15 października do 20 sierpnia.

Czasy ochronne proponowane przez prof. Domaniewskiego, dla wszystkich innych gatunków, a jest ich sporo, przyjąłbym prawie bez zastrzeżeń.

Trudno jednek zgodzić się z nim co do projektu ochrony dla gołębiarza, krogulca, wron i srok.

Nie wchodząc w idealne zapewne pobudki autora, nie mogę przyznać tym ptakom najmniejszych nawet zasług w gospodarstwie przyrody, jak również podzielić poglądu, ażeby mogła zagrażać im kiedykolwiek całkowita zagłada. Propozycja przyznania im czasu ochronnego i to w okresie gniazdowania, wywołała wśród szerokich warstw społeczności myśliwskiej pewne zdumienie. Boć wymienione gatunki są synonimem najgroźniejszych szkodników w łowiectwie i w gospodarstwie domowem właśnie na wiosnę i nic zgoła nie przemawia za ich oszczędzaniem, a proponowanie ochrony dla nich w imię ochrony przyrody, zdaje się być lekką przesadą.

Postaram się tezy te udowodnić, zaczynając od gołębiarzy.

W różnych czasach ubiłem przy pomocy broni palnej 50 gołębiarzy. Natychmiast po zabiciu otwierałem im wola, wypełnione często po brzegi, ażeby się przekonać o zawartości i znalazłem mięso i pierze kuropatw u 30 sztuk, co stanowi 60% jastrzębi, mięso i sierść zajęcy u 10 sztuk (20%), resztki innych ptaków: gołębi, drozdów, kaczek u 5 sztuk (10%), resztki gryzoniów: myszy, chomików, wiewiórek u 3 sztuk (6%), z wolami próżnemi było 2 sztuki (4%). Na pięćdziesiąt gołębiarzy żywiło się szlachetną zwierzyną łowną aż 40 sztuk, czyli 80%. Podkreślam, że strzeliłem je wszystkie w zimie na białej stopie. Inne w jesieni lub na wiosnę.

Gdy przyjmiemy, że gołębiarz zjada tylko jedną kuropatwę dziennie, to w czasie między 15 października, a 15 marca, a więc w ciągu pięciu zimowych miesięcy, gdy

grasuje jako cichy wspólnik na łowiskach, pożera kuropatw co najmniej 150. Ale wiemy z doświadczenia, że jedna kuropatwa mu nie wystarcza. Ażeby był całkiem syty, zjeść musi jedną rano, a jedną wieczorem, co przy obfitości żeru zdarza się rzeczywiście.

W pewnej wiosce znaleziono na cmentarzu na płycie grobowca 75 par łapek kuropatwich, po zjedzonych przez gołębiarza w okresie jednej zimy ptakach. A przecież rabuś ten nie zanosił wszystkich złowionych kuropatw akurat na cmentarz. Jako urodzony leniuch i ciężki do lotu, pożerał inne na miejscu tam, gdzie je upolował.

Czy tylko do samych kuropatw odnosi się jego niszczycielska działalność? Ile bażantów i zajęcy, a z ptactwa domowego, ile gołębi, kur, kaczek on zabija, wiedzą o tem włościanie, dla których stał się w wielu okolicach plagą prawdziwą, tem groźniejszą, że nieuchwytną.

Byłem raz świadkiem, jak gołębiarz uśmiercił w ciągu kilku sekund dużego koguta z rasy orpingtonów...

Nie mniej szkodliwą jest jego obecność w lesie. Ani jarząbek, ani cietrzew, ani słonka, ani grzywacz i turkawka, ani krzyżówka czy cyranka utrzymać się przy życiu nie mogą w sąsiedztwie tego upierzonego demona, rozporządzającego siłą, błyskawicznemi ruchami i swoistym sposobem polowania, polegającym na napadaniu znienacka.

Słyszy się często i czyta o utyskiwaniach leśników na szkodnictwo gołębiarza w mszarnych rewirach Wileńszczyzny, w których przebywają jeszcze pardwy. Ich ilostan zmniejsza się tam gwałtownie z powodu licznego występowania tego drapieżcy.

Szkody pomnaża gołębiarz jeszcze w sposób niebywały wtedy, gdy hoduje swoje niesamowicie żarłoczne potomstwo. Pod jego gniazdem znajdujemy całe stosy piór, sierci, kości, płaty krwi, jakby na jakiemś pobojowisku...

Przypisywanej mu w dobrej wierze selekcji wśród zwierzyny nie przeprowadza wcale. Być może, że początkowo chwyta te osobniki, które słabiej lecą, lub biegną, ranione lub chore. Ale gdy się z niemi upora, zabiera się czemprędzej do zdrowych i najlepiej fizycznie rozwiniętych, co mu tem łatwiej przychodzi, że na sam już widok jego, na samo niespodziewane zjawienie się, strach przemożny paraliżuje wszystkie ruchy ofiar i wtrąca je niechybnie w jego straszliwe szpony.

Psychikę gołębiarza charakteryzuje najlepiej następujący wypadek. „We wsi Wojkowicach pod Sosnowcem, zauważył 14-letni chłopiec, Wiśniewski, gdy się bawił na podwórzu domu swego ojca, że gołębiarz porwał kurę i zaczyna ją pożerać. Chłopak rzucił się na drapieżnika i chciał mu kurę odebrać. Nadbiegli wreszcie wieśniacy i kijami zabili jastrzębia“. („Łowiec Polski“ Nr. 15 z roku 1929).

Uważam, że art. 49 i 50 naszej ustawy łowieckiej, wyłączające gołębiarza ze wszelkiej ochrony są najzupełniej słuszne i szczególniej sprawiedliwe, a proponowana przez prof. Domaniewskiego ochrona wiosenna dla niego, w czasie od 15 kwietnia do 15 czerwca, jest zbędna i szkodliwa.

Sądzę także, że gołębiarz wytępić się nigdy nie da. Jest na to za mądry i za ostrożny, szczególniej, gdy nabierze życiowego doświadczenia. Swój gatunek zawsze utrzyma, choćby w rezerwatach i parkach natury, w których strzelać do niego nie będzie wolno.

—o—

Ochrona krogulca od 1 kwietnia do 31 maja jest również zbyteczna. Wprawdzie dla łowiectwa i gospodarstwa bywa on mniej groźny, bo tylko małe kurczęta czasem zabiera, młode kuropatwy i bażanciki chwyta, ale za to dla przepiórek i drobnego ptactwa jest wrogiem niezwykle groźnym. Prawda, że w zimie żywi się przeważnie wróblami, ale obok nich napastuje również wszystkie nasze ptaki śpiewające. Czyżyki, szczygły, gile, makolągwy, czeczotki, szpaki, drozdy i inne składają się na jego pokarm codzienny.

Ptaszki te przelatują w zimie z miejsca na miejsce za pożywieniem, a krogulec stale im towarzyszy, żywiąc się niemi, czy to czyżykom, wiszącym na szyszkach olszowych, czy makolągwom w polu.

Zupełnie też słusznie wypisało prawo łowieckie i tego małego rozbójnika na liście proskrypcyjnej. To mu się należy.

Wytępienie zaś jeszcze mniej mu grozi, jako że jest od gołębiarza ostrożniejszy i nie wpada tak łatwo w oczy.

—o—

Co znaczą wrony na podwórzach na wiosnę i w rewirach, nad tem nie trzeba się rozwodzić. Kurczęta i kaczęta stają się częstym łupem ich łakomstwa i zuchwalstwa. — Każde gniazdo kuropatwy, bażanta lub innego ptaka wrona splondruje, skoro je tylko odkryje: jaja wypije, młodzież rozdzióbie. Na młode zajączki poluje nałogowo. Nawet młode sarniątka wrony atakują, jeśli się zbiorą w większej gromadzie.

Oto opis autentycznego zdarzenia: „O godzinie 7-mej rano, gajowy lasów państwowych w Modrzejowicach, obchodząc swój rewir, usłyszał nagle pisk, na głos którego podszedł i zobaczył leżące sarniątko kilkodniowe z wydziobanemi oczami. Kilka wron siedziało na gałęziach. Stojąc i medytując nad wypadkiem, znów posłyszał pisk i, przeszedłszy 30 kroków, ujrzał ten sam obraz — drugie sarniątko z oczami wyłupionemi leżało na trawie. Oba były jeszcze żywe, widocznie w agonji, bo nerwowo rzucały badylami. W odległości kilkudziesięciu kroków, spostrzegł sarnę wabiącą niespokojnie, przechodzącą po kilka kroków to w jedną to w drugą stronę. Sarnę tę widział gajowy dwa dni przed tem z dwojgiem małych“. J. Kieszkowski, łowczy Koła „Knieja“. („Łowiec Polski“ Nr. 27 z r. 1930).

—o—

Jeszcze agresywniejszą jest sroka.

Na pewnem polowaniu strzeliłem do zająca. Nie zrulował, ale dobrze zaznaczył i wlókł się tak powoli, że go nie chciałem dobijać w przekonaniu, że wnet padnie. — Sunął się na drugą stronę parowu, wydeptując w śniegu głęboką brózdę. Po skończonym miocie ruszyłem za tropem, aby zająca podnieść. Ledwie zrobiłem kilkadziesiąt kroków, gdy z niedużej kępy leszczyny wyleciało kilka

srok. W krzakach znalazłem zająca już nieżywego, ale bez oczu, z wielu ranami na brzuchu, z poszarpaną w kilku miejscach turzycą. Obok niego na śniegu liczne ślady ptasie i krew... Typowa robota srok. One to rzuciły się na postrzałka, dobyły go i zaczęły go oprawiać, nic sobie z głosów nagonki, ani ze strzałów nie robiąc.

Na jaja kuropatwie i bażancie polują sroki zawzięcie, na młodzież tych ptaków jeszcze więcej.

Wron i srok jest u nas takie mnóstwo, że im nic grozić nie może, nawet wtedy, gdyby je wszyscy myśliwi tępili. Ale tak nie jest.

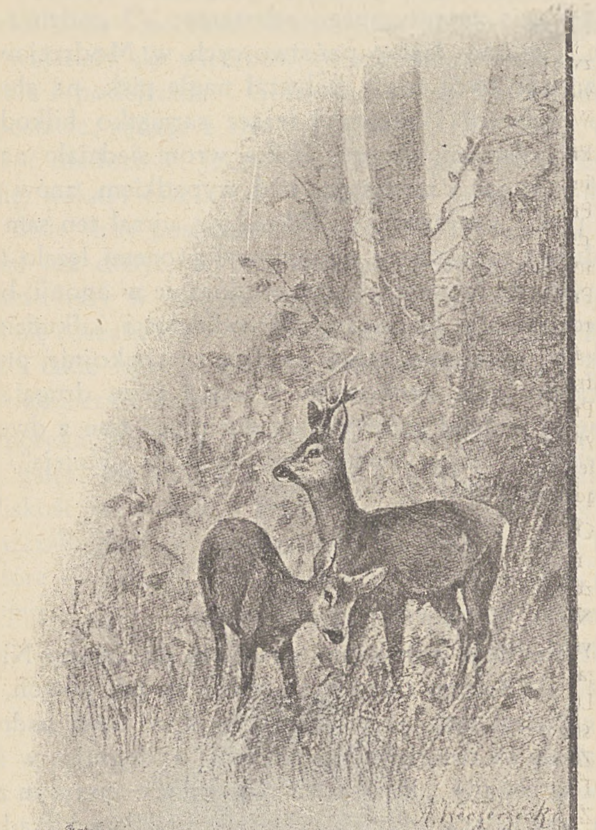
—o—

Stawiając swoje propozycje, pisze prof. Domaniewski w uzasadnieniu, że poprzestaje na kilku najtreściwszych wyjaśnieniach co do proponowanych terminów ochronnych, resztę zaś odkłada do ewentualnej dyskusji...

Dyskusję tę podejmuję obecnie, prosząc jeno o wyjaśnienie, co rozumie wnioskodawca pod pozycją 36: „inne ptaki drapieżne dzienne powinny mieć ochronę od 1 listopada do 25 sierpnia“... — Jeśliby miał na myśli myszołowy i pustułki, to sądzę, że one cieszą się i tak całoroczną ochroną. Zresztą na wiele lat przed wojną światową uchwalił Sejm galicyjski ustawę o całkowitej bezwzględnie ochronie tych właśnie, tak pożytecznych ptaków.

Wśród czytelników „Łowca“ jest napewno wielu zarówno hodowców, jak i przyrodników, znających dobrze przyjaciół, a jeszcze lepiej wrogów hodowanej zwierzyny łownej.

Byłoby pożądanem, ażeby się w kwestjach, które poruszyłem, na łamach naszego pisma — wypowiedzieli.



A. GROETSCHEL

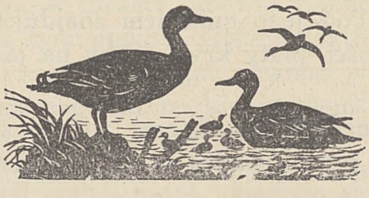
Porażka gołębiarza

Kilku hektarowe bagno leśne, otoczone dookoła prastarym borem sosnowym, drzemie w jaskrawych blaskach popołudniowego słońca, w upalny dzień letni. — Trzciny, szuwary, sitowie i ostre trawy bagienne, kryją przeważną cześć powierzchni bagna, tylko w pobliżu wyniośleјszego brzegu, połyskuje w słońcu nieduża tafla czystej wody.

Nagle na jasnem tle nieba zarysowują się nad lasem dwie sylwetki ptaków — szybko ku wspomnianemu bagnu ciągnących. — To kaczka krzyżówka dobywając resztek sił, stara się czem rychlej dopaść wody, za nią bowiem w odległości około 150 kroków, pruje powietrze jastrząb gołębiarz. — Odległość między ściganą ofiarą a prześladowcą szybko maleje. — Krzyżówka dotarłszy szczęśliwie do bagna — skośnym lotem skierowuje się ku czystej i dotąd uśpionej wodzie i idzie niby silną a wprawną ręką rzucony dysk.

Gołębiarz rozwiesił w powietrzu nieruchomo swe krótkie skrzydła i tylko długim ogonem lekko sterując, prze z szaloną szybkością ku prześladowanej ofierze — utkwiwszy w niej piekielny wzrok.

Kaczka z wyciągniętą jak struna szyją, wpada pod wodę, a strumień tejże przeszło metrowym promieniem bryzga w górę — oblewając piersi szybującego drapieżnika. Zatrzepotał skrzydłami — zawisnął na chwilę nad zmąconą tonią i ostrem kwileniem oznajmił swój gniew z doznanej porażki.



Korespondencje

ZE WSPOMNIEŃ

(Autentyczne).

Był to piękny, słoneczny dzień grudniowy. Mróz niewielki, cisza, spokój bez żadnego powiewu wiatru.

Góry pokryte lekko śniegiem, — drzewa pojedyńczo stojące o zwieszających gałęziach, nakrapiane płatami śniegu, — zwarty bór ciemnozielony.

Widok — jak zwyczajnie w zimie i w górach — wspaniały, zwłaszcza że słońce odbija się w miljonach iskier śniegowych, błyszcząc miljardami brylancików.

Takiego to dnia, w roku 1921 około południa melduje gajowy dzika na „Didowie“.

Czy wielki, — nie wie, bo tropy nieco zatarte.

Krótki rozkaz: Wermiński weźmie dwa psy, Donka i Śpiewaka, podłoży pod dzika, ja stanę na przesmyku w wąwozie na Didowie. — Po godzinie słyszę gon psów; Śpiewak cienko ciągnie, a Donek sekunduje mu basem, — idą na mnie! Baczność!! Słucham pięknej gry i serce myśliwskie napawa się dumą, że jednak moje psy — to pierwszej klasy dzikarze.

Coraz bliżej i bliżej młodnikiem gęstej jedliny, już palec na cynglu, lecz raptem o jakie 100 m przedemną, psy osaczają dzika

na miejscu, a w gęstwinie piekielny hałas; dzik dmucha, psy ujadają, lecz pomóc nie mogę, bo gąszcz nieprzebyty uniemożliwia podejście. — Nareszcie po półgodzinie ujadania, dzik rzuca się w bok i rozpoczyna się dalej gon, coraz bardziej przycichający i kończy się w baligrodzkich lasach.

Zdegustowany wracam do domu, a na szosie w Bystrem, spotykam robotnika lasowego Wermińskiego, który raportuje, że psy z dzikiem poszły w stronę Łubnego.

— Iwaśko, weź rzemień i biegaj pod gon, może którego psa złapiesz, gdyż inaczej dziś nie powrócą.

Już przed wieczorem wychodzę na szosę, by zatrąbić na psy i na gościńcu do Łubnego widzę jakąś gromadę ludzi, która żywo zbliża się ku mnie.

Idę więc naprzeciw i o dziwo, co za wspaniały, a nieprawdopodobny pochód. Dzik maszeruje środkiem gościńca, po bokach eskorta Donka i Śpiewaka, a z tyłu gromadka ludzi.

Wyjaśnia mi Wermiński, że wziąwszy dwóch parobczaków na ochotnika, pobiegł szosą ku Łubnemu; w tem z lasu wypada dzik. Psy zoczywszy chłopaków, rzucają się na dzika, Wermiński wyciąga rzemień, robi pętlę, którą zarzuca na gwizd, chłopcy pomagają, zakręca rzemień, a dzik po tej operacji, potulnie daje się pędzić, jak zwykły domowy wieprz, drogą na targ.

Dzik to był dwulatek, silny i sadlisty.

Baligród 17 grudnia 1933 r.

Stanisław Winiarski,
leśnik w Baligrodzie.

Kołomyja, 8 grudnia 1933 r.

Zapowiadana i odkładana dwukrotnie obława wilcza i dzicza z powodu fatalnej aury (deszcze i wylewy jesienne rzek i potoków górskich) — doszła do skutku w drugiej połowie listopada z ujemnym wynikiem i niespodziewanym rezultatem w postaci 1 dzika ubitego a 1 rannego. — Obława 3-dniowa w Karpatach na Pokuciu, zakrojona na większą skalę, była znakomicie zaimprezowana i zaprowiantowana.

800 ludzi nagonki i 50 myśliwych, to przecież dziś pokaźny sukces. Na białej stopie byłby z pewnością inny wynik, lecz znowu kolosalne mrozy, dochodzące i równające się zimie z roku 1928/29 — byłyby zresztą nie zgromadziły tylu myśliwych, co przy pogodzie dość łagodnej.

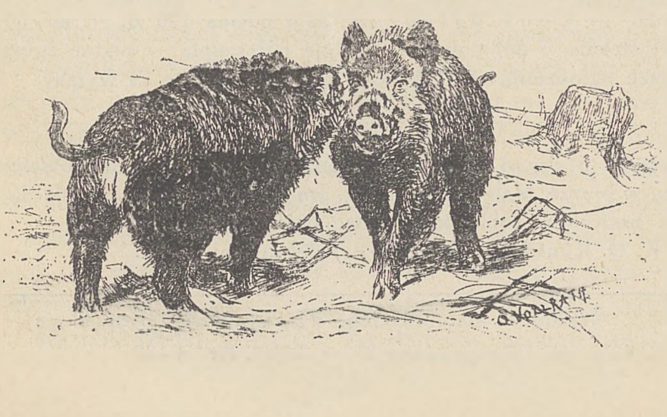
31⁰ C zimna na Pokuciu, niech będzie memento i bodźcem tutejszego obywatelstwa i społeczeństwa, czułego na dolę ludzką i zwierzęcą, by wśród zawiei śnieżnych i mrozów trzaskających, założyć rodzaj żłóbków tak dla ludzi, jakoteż i zwierzyny naszej — tego skarbu narodowego — za to św. Hubert stokrotnie wynagrodzi.

Stanisław Haleniak.

Łany Sieleckie, 14 grudnia 1933.

Dnia 12 i 13 grudnia, polowano w dobrach Kamionka Strumiłowa u pp. Tadeuszostwa Rakowskich w 14 strzelb. Wzięto dwa kotły, reszta las, przy niesprzyjającej pogodzie. — Na rozkładzie 1 dzik, i 110 zajęcy, 2 lisy chybiono, 6 poszło niestrzelanych. — Najwięcej ubił mjr. Rostwo-Suski, 15 sztuk, drugi wojewoda Belina Prażmowski 14 sztuk, dzika w ostatnim miocie pięknie kulą z gładkiej lufy, ubił Alfred Godlewski. — Polowanie energicznie prowadził właściciel.

K. G.



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, nadał Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w dniu 2 grudnia 1933:

I. Złoty Medal Zasługi Łowieckiej.

1) Cyrylowi Czarkowskiemu-Golejewskiemu,
2) Dr. Michałowi bar. Moysa-Rosochackiemu,
3) Stefanowi hr. Badeniemu,
4) Władysławowi Garapichowi,
5) Hieronimowi hr. Tarnowskiemu,
6) Inż. Arturowi Groetschelowi,
7) Dr. Aleksandrowi Małaczyńskiemu,
8) Stanisławowi Morawetz'owi,
9) Adamowi hr. Stadnickiemu,
10) Edwardowi Rudzińskiemu.

II. Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej.

1) Janowi Marcinkowowi,
2) Edmundowi Stawowczykowi.



Protokół z posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 listopada 1933 r.

Obecni pp.: przewodniczący W. Szperling, red. W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Skrzypek, mec. Al. Tallen-Wilczewski i J. Żukotyński; w charakterze gościa — prof. J. Gieysztor; sekretarzował J. Bokiewicz.

Porządek obrad obejmował:

Zatwierdzenie protokołu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 31 października r. b.

Sprawy Stowarzyszeń Związkowych.

Sprawy delegatów powiatowych.

Sprawy bieżące.

Przygotowanie ewentualnych wniosków na posiedzenie Zarządu Związku w dniu 2 grudnia r. b.

Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 31 października r. b. zatwierdzono bez zmian.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienie nieobecności na posiedzeniu pp.: inż. J. Grabowskiego, W. Kiltynowicza, inż. H. Knothego i C. Lisowskiego.

Prośbę Ostrołęckiego Towarzystwa Łowieckiego w Ostrołęce o rozłożenie zaległej składki za lata 1932 i 1933, w sumie zł. 300 na raty — postanowiono przedstawić Zarządowi Związku do rozpatrzenia, uzależniając to od podania konkretnych terminów.

Prośbę Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa i Ochrony Zwierzyny Łownej w Sieradzu o odroczenie wpłaty składki członkowskiej za rok 1933 w sumie zł. 50 — postanowiono przedstawić Zarządowi Związku z opinją przychylną.

Oświadczenie Koła Racjonalnego Łowiectwa w Łapach, że składki na rzecz Związku pokryć nie jest w stanie — postanowiono przedstawić Zarządowi Związku.

Na wniosek p. starosty powiatowego we Włodzimierzu Wol., Wydział Wykonawczy zatwierdził następujące kandydatury na delegatów Związku w powiecie Włodzimierz (woj. wołyńskie):

Leonard Goworowski, Włodzimierz, Komunalna Kasa Oszczędności,

Zygmunt Przemyślski, Włodzimierz, starostwo,

Tadeusz Brzeziński, Chotiaczów, Orliczyn,

Zbigniew Kluczyński, Włodzimierz, Królewszczyzna,

mjr. Leopold Biesiadowski, Werba, Adamówka,

Antoni Czaban, Poryck.

Przyjęto do wiadomości treść pisma delegata Związku w pow. Pińsk (woj. poleskie), p. komand. por. Zajączkowskiego, który doniósł o podziale powiatu na dwa rejony.

Przyjęto również do wiadomości treść pisma delegata Związku w pow. Radomsko (woj. łódzkie), p. Siemieńskiego, w sprawie zorganizowania współpracy delegatów Związku w tym powiecie.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości odpis zezwolenia p. wojewody poleskiego, wydanego p. J. Zawadzkiemu, właścicielowi maj. Drewna (pow. Kobryń), na odstrzał 3 sarn-kozłów w terminie do końca r. b.

P. prof. Gieysztor, w związku z odbyć się mającym w Warszawie w roku przyszłym zjazdem Conseil International de la Chasse, został przez sekretarjat C. I. C. uproszony o napisanie referatu na temat ochrony łosia w Polsce. Referat taki p. prof. Gieysztor już opracowuje.

Na propozycję Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia, postanowiono złożyć p. Ministrowi Spraw Wewnętrznych wniosek o włożenie na sołtysów w województwach: białostockiem, nowogródzkiem, poleskiem i wileńskiem — obowiązku ochrony zwierzyny wogóle, a łosi w szczególności — przed kłusownictwem. Zatwierdzono projekt tego memorjału, opracowany przez sekretarjat.

Opracowany przez p. red. Garczyńskiego, stosownie do uchwały Wydziału Wykonawczego, memorjał w sprawie kosztów przewozu psów myśliwskich koleją — zatwierdzono i postanowiono złożyć p. Ministrowi Komunikacji.

W dalszym ciągu na ołtarz Św. Huberta złożyli: P. Janina Madeyska z Parchacza zł. 15.

TREŚĆ NUMERU 1:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32